

Kołowrót nadziei - "Cud, że jeszcze żyjemy" w Teatrze Współczesnym w Warszawie, recenzja

Dobiegła końca era Macieja Englerta w Teatrze Współczesnym w Warszawie, a wielu ostrzyło sobie zęby na pierwszą premierę duetu dyrektorskiego Malajkat-Hyncar. Dawny dom parafialny przy Mokotowskiej ma jednak swoje techniczne ograniczenia: brak komina nad sceną, brak zapadni, czy automatyki sceny, a mimo tego postanowiono ambitnie mierzyć siły na zamiary. Nietłwy to moment, gdy wszyscy patrzą na ręce, a jakąś sztukę do realizacji wybrać trzeba. Wojciech Malajkat wpisał do programu teatru triadę podstawowych założeń swojej dyrektorskiej kadencji: korzystanie z dobrej literatury dającej aktorom szansę do stworzenia wyrazistych, mocnych postaci, a jednocześnie będącej jasną i zrozumiałą dla publiczności, która wyjdzie ze Współczesnego z refleksją, czasem szerokim uśmiechem, a niekoniecznie dezorientacją. Marcin Hyncar, jak sam przyznał, dość przypadkowo trafił na zapomnianą w Polsce sztukę Thorntona Wildera „The Skin of Our Teeth”, za którą autor otrzymał jednego ze swoich trzech Pulitzerów. Jej poprzednia i jedyna w naszym kraju realizacja pod tytułem „Niewiele brakowało” w reżyserii Jerzego Rakowieckiego odbyła się w Teatrze Narodowym w Warszawie w 1956 roku i najstarsi górale już jej nie pamiętają. Autor „Naszego miasta” pisząc tekst w latach czterdziestych po ataku Japonii na Pearl Harbour rozszerzył nieco horyzonty czasowe wcześniejszego utworu prezentując całą ludzką egzystencję pewnej podmiejskiej rodziny z New Jersey. A kiedy okazało się, że tuż obok wątku wojennego umieścił w tekście uchodźców, katastrofę klimatyczną i problemy psychiczne, zaś wszystko okraślił charakterystycznym dla siebie absurdalnym humorem, wybór był już oczywisty. Trudno o bardziej współczesne skojarzenia na początek nowej drogi stołecznego Współczesnego.

Tak oto przenosimy się do epoki lodowcowej i poznajemy państwa Antrobusów, małżeństwo z raptem pięcioletnim stażem, rodziców dwojga dzieci, może nie zawsze tych samych, ale zawsze dwojga. George Antrobus (światny Mariusz Jakus ze stylową zaczeską) łączy w sobie cechy biblijnego Adama z ojcem narodu amerykańskiego, a zajmuje go głównie liderowanie, postęp ludzkości i kolejne wynalazki – od alfabetu i tabliczki mnożenia począwszy, na produkcji piwa wcale nie skończywszy. W działaniach tych wspiera go opoka domu Maggie, czyli Pani Antrobus (wspaniale wyrysowana silna i dystygnowana Joanna Jeżewska), prawdziwa ssaczka, której zawdzięczamy z kolei marynaty i smażenie w głębokim oleju. Syn Henry (mocna, buntownicza rola Przemysława Kowalskiego), którego prawdziwe imię brzmi nieco bardziej biblijnie, bywa mniej cierpliwy, miewa skłonności do ciskania kamieniami i sprawia rodzicom niemałe kłopoty wychowawcze. Jego przeciwieństwem jest wpatrzona w ojcowski autorytet córka Gladys (zmienna nastoletnim buntem Monika Pawlicka), która jako przykładowa uczennica stara się przyswajać wiedzę, by uzyskać choć drobną pochwałę od faworyzującego swego syna rodziciela. Gromadkę domowników uzupełnia atrakcyjna gospośnia Sabina (rewelacyjna w każdej odsłonie Barbara Wypych), której Wilder wyznaczył w spektaklu rolę postaci permanentnie łamiącej czwartą ścianę w najbardziej emocjonujących momentach sztuki. Cała piątka staje przed widmem katastrofy klimatycznej i zbliżającego się nieuchronnie lodowca, przed którym schronienia poszukuje fala uchodźców z Homerem i Mojżeszem na czele oraz cokolwiek spore i prześmiesznie zinscenizowane zwierzęta domowe. Bohaterowie starają się przetrwać paląc czym się da w domowym ognisku, przeżywają wzloty i upadki, lecz czy z Bożą i widzów pomocą może się nie udać?

Spektakl, co jest już teatralną rzadkością, ma aż trzy odrębne akty, choć na szczęście nie okrada nas przez to z cennego czasu. O ile w pierwszej odsłonie przeważają akcenty groteskowego humoru, o tyle w kolejnych szala przechyla się coraz bardziej w stronę gorzkich refleksji dotyczących człowieka. Część druga naigrywa się dodatkowo ze sztucznie lukrowanych amerykańskich wyborów. Pan Antrobus zostaje bowiem prezydentem wszystkich ssaków i wygłasza wraz z Pierwszą Damą płomienne orędzie, po którym świat stanie w rozkroku pomiędzy hedonistycznymi uciechami nieustającej zabawy a tradycyjnymi rodzinnymi wartościami. W tym kryzysie wspaniale odnajdą się zwłaszcza kobiety – polująca na „grubą rybę” miss Atlantic City Sabina Fairweather, przepowiadająca przyszłość i nieuchronną zagładę wróżka Esmeralda (porywająca docinkami i komentarzami Agnieszka Suchora) oraz stojąca na straży moralności Pani Antrobus, której przemowę o prawdziwej naturze kobiet publiczność nagrodziła gromkimi brawami. W czasach, gdy „słowo przestało cokolwiek znaczyć” dochodzi do kolejnej katastrofy - wielkiej powodzi. Na szczęście w pobliżu znajduje się duża łódź z miejscem dla rodziny Antrobusów i może jeszcze dwóch osobników... z każdego stworzenia. Cóż, w akcie trzecim także spodziewamy się mitycznego kataklizmu, a tymczasem trafiamy właściwie na dwa - jeden znaczenie nam bliższy, drugi czysto teatralny. W galimatiasie analogii, odniesień, metafor i alegorii Wilder puszcza do nas oko i raz jeszcze zadaje pytania o to, co robimy ze światem i gdzie jest granica, za którą ludzkość nie zdoła się już podnieść. Nawet jeśli Pan Antrobus stracił wolę, by znów zaczynać od nowa, jak czynił przez tysiąclecia, nawet jeśli Sabina doznała wszystkich możliwych okropieństw wojny doświadczanych przez kobiety, to jednak zakasują rękawy i inicjują kolejny początek „tej Ziemi”. Żadna tragedia ani klęska nie załame bowiem człowieka. „Autor jeszcze nie wymyślił jak to się wszystko skończy” oznajmia Sabina. To my piszemy przyszłość.

Niekonwencjonalna sztuka Wildera daleko odbiega od utartych schematów. Wydaje się, że autor w swej niepohamowanej wyobraźni wrzucił doń wszystko, co mu się pod rękę nawinęło i zamieszał ze wszystkim. Ten przepych widać już choćby w 30 postaciach, które Marcin Hyncar przyciął nieco reżyserskim skalpelem, a i tak oglądamy w różnych wcieleniach 14-osobową obsadę, bo nie wymienię jeszcze Moniki Kwiatkowskiej, Kingi Tabor, Piotra Bajora, Konrada Braciaka, Marcina Bubółki, Dariusza Dobkowskiego, Mariusza Ostrowskiego, Szymona Roszaka i Wojciecha Malajkata prezentującego wiadomości na ekranie. Każdy z aktów to odmienne, amerykańskie w duchu, barwne kostiumy Anny Adamek, znakomita scenografia Martyny Kander z ruchomymi elementami, żartobliwie jankeskimi akcentami i olbrzymim oknem, zza którego wyzierały wyszukane projekcje multimedialne Jagody Chałcińskiej, a czasem znany z telewizji obraz przerwy technicznej. W różnorodnej muzyce Mateusza Dębskiego nie zabrakło jazzu, wibrujących smyczków, kościelnych dzwonów, country, a nawet świątecznych melodii. Uwagę zwraca też nowy odsocrealizowany przekład Bartosza Wierzybięty, który okraślił tekst bliskimi nam współczesnościami, że o Libusie tylko wspomnę.

„Cud, że jeszcze żyjemy” został napisany, by dawać otuchę i nadzieję. W czasach, gdy katastrofy ponownie wiszą nad nami niczym miecz Damoklesa sztuka Wildera jest przesłaniem optymizmu i niezłomności ludzkiego ducha. Pocieszeniem, że drzewie w nas ogromna siła i wola przetrwania uwalniana zazwyczaj w skrajnych okolicznościach. „Wojna budzi w ludziach najlepsze instynkty” pada przewrotnie ze sceny. W groteskowo ukazanym chaosie toczącego się koła historii, opowieści o cywilizacji pędzącej ku zagładzie pojawia się światelko w tunelu. Czy to miłość, która ma „wielką wartość w procesie przetrwania”, czy olbrzymia determinacja, czy umiejętność odróżnienia dobra od zła – cokolwiek by to było, człowiek zawsze podnosi się z upadku i odbudowuje na nowo. Jak długo jeszcze? To zależy tylko od nas. Ważne, że zawsze jest nadzieja na lepsze jutro. Na razie z przytupem i scenicznym rozmachem na nową drogę wkroczył Teatr Współczesny. Z wilderowskiego miszmaszu trudno wyczytać obrany kierunek, ale początek uznać należy za udany i, jakżeby inaczej, dający nadzieję na przyszłość.

Tekst Marek Zajdl, fot. Aliaksandr Valodzin/
East News

